

Prof. Jacek Bartyzel w rozmowie z Filozofią Polityki ONLINE

Neutralność aksjologiczna państwa jest nieureczywistnialną chimerą



**Neutralność aksjologiczna państwa jest nieureczywistnialną
chimerą**

**Moje pierwsze pytanie orbitować będzie wokół tekstu Agnieszki
Rybak z dodatku „Plus/Minus” do „Rzeczpospolitej”, który ukazał
się w marcu 2012. Rybak w artykule zatytułowanym „Zbyt wielu**

Napoleonów” analizuje sytuację młodej polskiej prawicy. Stwierdza w nim, m.in., że młoda lewica osiągnęła dziś niespotykaną wcześniej w wolnej Polsce pozycję polityczną, natomiast prawica jest z kolei wyjątkowo słaba. Rybak winę tego stanu rzeczy upatruje w zignorowaniu przez młodych prawicowców Krytyki Politycznej jako zjawiska ideowo-społecznego, oraz wewnętrznym skonfliktowaniu się konserwatystów. Czy zgadza się Pan z tą diagnozą?

Uważam, że opinia p. Rybak jest bezpodstawna, bo ja przeciwnie, od początku widziałem wielkie zainteresowanie na młodej prawicy (podszyte pewną zazdrością) fenomenem Krytyki Politycznej, i wielu nawet przymierzało się do odegrania podobnej roli.

Jednak główna część przesłania Agnieszki Rybak odnosiła się do siły młodej lewicy w Polsce i słabości młodej prawicy, która miałyby się brać z nadmiernych ambicji przywódców, młodych intelektualistów - tytułowe "Zbyt wielu Napoleonów". Zgadza się Pan z tą diagnozą?

Gdyby była na prawicy osobowość w sposób nieodparty narzucająca się jako "urodzony przywódca" (ktoś o "magnetyzmie" takim jak Piłsudski czy Bolesław Piasecki), to nie byłoby rywalizacji "pułkowników" raczej niż "cesarzy", czy choćby "marszałków". Ale urodzeni przywódcy nie rodzą się na kamieniu, PR też tu nic na dłuższą metę nie pomoże, więc formułowanie takich zarzutów jest tyleż słuszne na poziomie banału, co "niekonstruktywne". Można ponarzekać i pouczyć, że byłoby dobrze się nie kłócić, tylko nic z tego nie wynika.

Może problemem jest transmisja wiedzy i autorytetu? Czy politycy są zdolni wychować następców? Na polu nauki też z tym kiepsko, nie widać wysiłku tworzenia szkół politycznych, czy

intelektualnych. Być może liderzy są w związku z tym niedouczeni. Pamiętam, jak profesor Legutko przestrzegał przed tym zjawiskiem i podawał jako przykład młodego Kołakowskiego, który w młodości wyrządził więcej złego niż dobrego.

Problem transmisji jest rzeczywiście ważny. Przez wiele lat rolę takiego mentora prawicy, u którego terminowało kilka generacji, spełniał śp. prof. Wiesław Chrzanowski. Jest dla mnie zagadką dlaczego ostatecznie nie przekładało się to na coś trwałego w polityce czynnej. Rolę ośrodka krystalizującego szkołę myślenia mogą i powinny oczywiście spełniać poważne periodyki, ale błąd, który na ogół popełniają ich, często wybitni skądinąd, publicyści bierze się z ich nadmiernego temperamentu polemicznego, nawet niemożności powściągnięcia zwykłej złośliwości, co oczywiście zraża i odpycha, zamiast przyciągać i budować.

Wszystko to przekłada się potem na słabość tych środowisk. Dość pouczającą historią był również upadek "Rzeczpospolitej" i środowiska z nią związanego. Czy zgodziłby się Pan z moją oceną, że kolejnym grzechem prawicy jest zbyt duża pewność siebie? Środowisko Rzeczpospolitej z tego co pamiętam było dość hermetyczne i nie tworzyło szerokich sieci kontaktów z innymi środowiskami, wierząc w swoją elitarność i siłę. Jak się później okazało, było to wiara całkowicie pozbawiona podstaw. Jak Pan ocenia siłę takich młodych środowisk jak Rebelya.pl, [Teologia Polityczna](http://TeologiaPolityczna.pl), środowisko Klubu Jagiellońskiego, pisma "44"? Czy widzi Pan jakąś strategię, która mogłaby wzmocnić tę siłę?

Co do [Rebelyi](http://Rebelya.pl) to wydaje mi się, że jest nieco "rozmyta" i eklektyczna ideowo, przydałoby się bardziej dobitnie wyakcentować różnicę w stosunku do aktualnej Frondy, której zapożyczony "neokonserwatyzm" uważam za bardzo niebezpieczny dla tożsamości polskiej prawicy. Klub

Jagielloński, Teologia Polityczna i "44" to bardzo ciekawe środowiska, ale znane jedynie bardzo wąskim kołom: jak to przełamać - nie wiem.

Czym jest ów "neokonserwatyzm", o którym Pan wspomina?

Przede wszystkim to zjawisko, którego przyswajanie sobie w Polsce z dwu co najmniej - i kardynalnych - powodów jest niedorzecznością. Po pierwsze, stanowi ono wykwit zupełnie specyficznego doświadczenia grupy amerykańskich - a nawet ściślej: nowojorskich - Żydów o lewicowej, na ogół trockistowskiej, przeszłości, którzy ze względu na antystalinizm przeszli ongiś na pozycje zimnowojenne i antysowieckie, do czego musieli dobudować jakieś uzasadnienie. Po drugie, merytorycznie jest to oszustwo, ideologiczny szwindel polegający na podłożeniu pod pojęcie "konserwatyzm" pojęć, zasad i instytucji związanych z zupełnie inną ideologią, tj. demoliberalizmem, szczególnie w związku ze znów specyficznym amerykańskim doświadczeniem historycznym i instytucjonalnym. Jednym słowem jest to "macdonaldyzacja" prawicy.

Niemniej jednak środowiska prawicowe uważały neokonserwatystów za swoich sojuszników.

O ile pierwszemu pokoleniu neokonserwatystów (I. Kristol, Bell, N. Podhoretz) chodziło jeszcze w jakimś stopniu o przeciwstawienie się lewicy kulturowej i moralno-obyczajowej, co przynajmniej sytuacyjnie czyniło ich sojusznikami prawdziwej i chrześcijańskiej prawicy, o tyle nowe pokolenie jest już zupełnie obojętne na te kwestie i zainteresowane wyłącznie militarno-polityczno-ideologiczną hegemonią Stanów Zjednoczonych, podporządkowanych z kolei interesom Izraela. Jest jeszcze poza tym "chrześcijańska" przybudówka do neokonserwatyzmu - i to ona zresztą wywiera najbardziej bezpośredni wpływ na niektóre środowiska prawicowe lub za takie

uchodzące w Polsce - zwana niekiedy (acz mylnie) "teokonserwatyzm", której ideolodzy (M. Novak, G. Weigel czy nieżyjący już R.J. Neuhaus) nasączają myślenie społeczno-polityczne katolików apoteozą instytucji demoliberalnych oraz ideologią tzw. demokratycznego kapitalizmu. To "katolickie" opakowanie, zwłaszcza dlatego, że idzie w parze z rzeczywistą obroną np. cywilizacji życia, jest szczególnie niebezpieczne dla tożsamości katolickiej, bo łatwiej przyswajalne, aniżeli "czysty" judeo-konserwatyzm, którego obcość widoczna jest gołym okiem.

W czasopiśmie Pressje też zauważaliśmy niedostatki wspomnianej przez Pana wersji pogodzenia kapitalizmu z katolicyzmem przez Novaka, Weigela i Nehausa. Sam kapitalizm, chyba że się myłę, jest do pogodzenia z wizją pravicową.

Kapitalizm to pojęcie tak nieostre i wieloznaczne, że niepodobna z góry ani przesądzić, ani wykluczyć jego kompatybilności ze światem ideowym prawicy. W podstawowym i najogólniejszym sensie - wyprowadzonym z etymologii słowa "capito", czyli głowa - kapitalizm, a więc ludzka zapobiegliwość i przedsiębiorczość, wynikająca z rozumnej natury człowieka jest po prostu, jak pisze o. R.-L. Bruckberger, życiem ("le capitalisme c'est la vie!"). Ta przedsiębiorczość może jednak w bardzo różny sposób być realizowana oraz usytuowana w całokształcie ludzkiej kultury, zgodnie lub nie z naturalnym porządkiem funkcji koniecznych dla pełnego rozwoju osobowego człowieka we wspólnocie, z porządkiem dóbr oraz hierarchią cnót. W świetle coraz bardziej wnikliwych badań widać coraz wyraźniej, że "kapitalizm" był na dobrej drodze w dojrzałym europejskim średniowieczu, zwłaszcza w północnych Włoszech i we Flandrii. Stworzono tam zdrowe i stabilne podstawy gospodarowania i kredytu, a zatem w ramach tradycyjnej cywilizacji trójfunkcyjnej i trójstanowej, gdzie stan kupiecki i produkcyjny znajdowały się na trzecim miejscu, zgodnie z hierarchią

funkcji (duchowa - militarna - produkcyjna) i w podporządkowaniu normom prawa naturalnego i etyki katolickiej. Już wtedy także - począwszy od św. Tomasza z Akwinu i bpa Mikołaja z Oresme aż po wczesnonowożytną szkołę hiszpańskich scholastyków z Salamanki - zbudowano teoretyczne podstawy ekonomii, także jako działu etyki społecznej. Niestety, później kapitalizm wykoleił się pod wpływem protestantyzmu, zwłaszcza wypaczonej strachem moralności kalwinistycznej (purytańskiej) oraz antropologii indywidualistycznej i naturalistycznej. Usprawiedliwiała ona chciwość i egoizm wymyślonymi przesłankami utilitarystycznymi (jak rzekoma samorzutność "niewidzialnej ręki") pozostającymi w całkowitej sprzeczności z aretologią chrześcijańską. Konsekwencje tego ponosimy do dzisiaj.

W neokonserwatyzmie jak rozumiem nie podoba się Panu również akceptacji instytucji nowoczesnego państwa suwerennego a la Bodin? Nieukrywam, że sam o tym wiele pisałem.

Przypomnę tu rzecz znaną, o której sam niejednokrotnie pisałem, że Bodiniańska koncepcja suwerenności nie może być przychylnie traktowana przez tradycjonalistów z dwu powodów. Po pierwsze, stanowi ona istotne ogniwo w procesie sekularyzacji polityki, albowiem przypisuje władcy/państwu atrybut należny jedynie Bogu. W tradycyjnym ujęciu piastun władzy politycznej sprawuje jedynie doczesny wikariat w imieniu i z upoważnienia jedyne suwerennego Pana wszelkiego stworzenia. Po drugie, co zresztą ściśle łączy się pierwszym, koncept suwerenności burzy organiczną i piramidalną strukturę naturalnych ciał społecznych, w której każdemu szczeblowi odpowiada jakaś władza i jurysdykcja, zaś ten, który sprawuje suprema auctoritas, wieńczy ów organizm jako jego głowa, będąca wszelako integralną częścią całego mistycznego ciała politycznego. Ustanawiając

doczesnego suwerena Bodin sytuuje go natomiast poza i ponad owym ciałem, co otwiera drogę dla ustanowienia corpus mechanicum, czyli Hobbesowskiego Lewiatana, złożonego ze stowarzyszających się ludzkich atomów, a w dalszej kolejności ulegającemu równie mechanicznemu rozkładowi na "państwo" i "społeczeństwo obywatelskie", dążące wzajemnie do pochłonięcia się. Suwerenność suponuje również dokonany Traktatem Westfalskim ostateczny rozpad chrześcijańskiej res publica na "państwa narodowe" oraz sztuczny podział na "politykę wewnętrzną", podległą arbitralności prawa stanowionego wolą suwerena, oraz "politykę zewnętrzną", w której panuje Hobbesowski "stan natury". Zadaniem myśli tradycjonalistycznej było zatem, jak pisał Alvaro d'Ors, "obalenie mitu suwerenności państwa". Z drugiej strony, nie można ignorować faktu, że jednak ukształtowanie się państw narodowych stało się trwałym faktem, który nabiera nieco innego znaczenia z chwilą, kiedy ten sam proces, który je wytworzył, został dziś przeniesiony na wyższy, ponadnarodowy poziom, generując kosmopolitycznego hiper-Lewiatana. Mimo wszystko jednak, obronę przed nim wołałbym organizować nie pod hasłami "suwerenistycznymi", ale zasad pomocniczości i dobra wspólnego.

Pisze Pan często o sekularyzacji polityki. To bardzo interesujący temat. Wiele osób ma wątpliwości co do wykonalności liberalnego postulatu neutralności aksjologicznej państwa. Czy można całkiem oddzielić przekonania religijne od idei politycznych? Według Jana z Salisbury religia stanowi duszę wspólnoty politycznej, tak więc oddzielić religię od polityki to jak odebrać duszę wspólnocie.

Neutralność aksjologiczna państwa jest nieurzeczywistnialną chimerą, ponieważ nie istnieje żaden rodzaj relacji międzyludzkiej, ani żaden segment rzeczywistości społecznej, który byłby „neutralny”

aksjologicznie. Stan taki byłby odpowiednikiem drugiej zasady termodynamiki w świecie fizycznym, a więc zaniku życia wskutek wyrównania energii wszystkich ciał. Każda ustawa – ba! najbardziej błahe rozporządzenie – władzy politycznej jest jakimś rozstrzygnięciem aksjologicznym, chociażby ustawodawca (jak pisał prof. W. L. Jaworski) nie składał rachunku w ustawie skąd powziął to rozstrzygnięcie, ale skądś musiał. Swoje najdonioślejsze odkrycie, iż na dnie każdej istotnej kwestii politycznej leży jakaś ważna kwestia teologiczna, Donoso Cortés objawił podczas... debaty budżetowej w parlamencie hiszpańskim.

Możliwe jest natomiast co innego (i co od dawna już widzimy), a mianowicie świadome odrzucenie aksjologii (i aretologii) wypływającej z religii transcendentnej, lecz jedynym – natychmiastowym i koniecznym – skutkiem takiego odrzucenia jest nie „neutralność”, lecz przecząca tej religii aksjologiczna alternatywność, odwrócenie znaków wartości, dla którego uzasadnieniem i rezerwuarem jest przyjęcie przez państwo jakiegokolwiek „religii politycznej”, „świeckiej religii” czy też „gnozy”, która zagnieżdża się na wzgardzonych i opuszczonych ołtarzach. W systemie, w jakim żyjemy, taką alternatywną quasi-religią jest oczywiście kult dwugłowego bożka, Lelum-Polelum, Demokracji i Praw Człowieka.

Czy powrót do religii objawionej w miejsce wymyślonej, transcendentnej zamiast immanentnej, jest możliwy? Tak, ale trzeba powiedzieć jasno, że nie może go dokonać samo państwo, jeśli również i Kościół, który od czasu Vaticanum II schował pod korcem naukę o Społecznym Królowaniu Chrystusa, nie da ku temu „zielonego światła”.

Niedawno Komisja Episkopatu Polski przygotowała nawet specjalny list poświęcony kwestii intronizacji Chrystusa Króla.

Wydaje mi się, że prawdziwą choć niedopowiedzianą intencją sygnatariuszy tego Listu było pragnienie odsunięcia od siebie kłopotu, jaki niewątpliwie sprawia im postulat intronizacji, zakłócający upragniony przez wszystkich patronat św. Spokoju. Wbrew miotanym oskarżeniom o „wtrącanie się do polityki”, współczesny, posoborowy Kościół hierarchiczny jest bardzo powściągliwy i spolegliwy wobec „świeckiego państwa”, przynajmniej w zakresie realizacji tego, co najważniejsze – czyli właśnie Społecznego Królowania Chrystusa.

Z profesorem Jackiem Bartyzelem rozmawiał Marek Przychodzeń opiekun merytoryczny studiów e-learningowych

Filozofia

Polityki

ONLINE.

Więcej

informacji: http://www.wse.krakow.pl/pl/studia_podyplomowe/filozofia_polityki_online_